

Jedlicki, Jerzy

Z życia nauki i życia Towarzystwa : O intelektualistach czyli uwodzicielach umysłów i sumień

Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego 67, 26-36

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jerzy Jedlicki

O INTELEKTUALISTACH CZYLI UWODZICIELACH UMYSŁÓW I SUMIENÍ

1. Intelktualistów odkryto we Francji w końcu dziewiętnastego wieku. Francuska opinia publiczna była podniecona głośną sprawą kapitana Alfreda Dreyfusa, oficera sztabu generalnego, który został oskarżony i skazany za szpiegostwo na rzecz Niemiec. Zbierały się wszelako wątpliwości, czy skazano właściwą osobę, czy proces przed sądem wojskowym był rzetelny i czy przypadkiem na orzeczeniu winy nie zaciążył fakt, że oskarżony był Żydem. Emil Zola, pisarz będący wówczas u szczytu popularności, zważył wszystkie poszlaki i wystosował (w styczniu 1898) słynny list otwarty do prezydenta Republiki, w którym oskarżył sędziów śledczych i sztabowców o matactwa, fałszowanie dowodów, i zażądał rewizji procesu ściągając tym sposobem na siebie z kolei oskarżenie o obrazę rządu i armii Republiki. Wówczas to w obronie Zoli i Dreyfusa wystąpiło kilka tysięcy ludzi, przeważnie ze świata nauki, sztuki i dziennikarstwa, w tym wielu o znanych nazwiskach. Ich manifest, pod którym co tydzień przybywało podpisów, został przez Maurycego Barresa, pisarza i publicystę prawicy, nazwany szydyczko „manifestem intelektualistów” czyli uczonych mądrali, bo taki mniej więcej był sens i aromat tego nowego słowa.

Sprawa Dreyfusa, spór o jego winę i o honor Francji, głęboko podzieliła i rozgorączkowała francuską, a w pewnej nawet mierze europejską publiczność. Dreyfus ostatecznie, po latach zesłania w Gujanie Francuskiej, został uniewinniony: niemieckim szpiegiem okazał się inny oficer. Dreyfusa zaś i Zoli obrońcy, którzy zaangażowali swój autorytet w walkę o prawdę i sprawiedliwość, zostali w głównym nurcie tradycji uznani za sumienie Francji, ale przez nacjonalistyczny odłam opinii za jej zakałę. Nazwa „intelektualistów” przylgnęła do nich i pozostała w językach europejskich, czasem zachowując nieco ironiczne brzmienie, a czasem przeciwnie – przybierając ton wzniosły i trochę pretensjonalny.

2. Intelktualistą nie jest się z samej racji czyjegokolwiek zawodu czy talentu, ale się nim bywa. Intelktualistą staje się uczony lub artysta wtedy, gdy wykraczając poza szranki swej specjalności stara się uzyskać wpływ

na umysły i sumienia współobywateli, na ich poglądy moralne, upodobania kulturalne, postawy społeczne, wybory polityczne. Staje się nim, gdy „Usiłuje swym zdaniem zaważyć na biegu spraw publicznych, na przykład biorąc w obronę dyskryminowane grupy społeczne, domagając się uchwalenia jakiejś ustawy albo rzucając wyzwanie legalnej władzy bądź całej klasie panującej. Staje się nim, ilekroć popularność, zdobyta dzięki sukcesom w tej czy innej dziedzinie nauki, literatury lub sztuki, godzi się rzucić na szalę polityki lub na rynek opinii, aby autorytetem nazwiska przydać wagi argumentom swojego stronnictwa bądź swoim własnym.

3. Choć jednak termin wszedł w obieg dopiero w końcu dziewiętnastego wieku, to przecież rola taka, jak łatwo zauważyć, miała już za sobą długą historię.

Rzec można, iż wzorem i patronem intelektualistów wszystkich czasów jest Sokrates, filozof spełniający się w błazeńskiej nieco roli przygodnego gaduły-rezonera, mentor ironiczny, uwodziciel młodzieży, podważający konwencjonalne przekonania i dojrzałemu sądowi indywidualnego rozumu przyznający z reguły przewagę nad racjami demokratycznego państwa, społeczeństwa i urzędowej religii, za co, jak wiadomo, zapłacił życiem.

Ale może nie trzeba sięgać aż tak głęboko wstecz, może wystarczy przypomnieć włóczących się w XII wieku po Francji studentów, klerków, waganów, zuchwale roztrząsających prawdy teologiczne i filozoficzne i ich uwielbianego nauczyciela, Piotra Abelarda, o którym francuski historyk powiada, że „jest to pierwszy wielki intelektualista nowoczesny – w granicach nowoczesności wieku XII – pierwszy profesor”.

Uczonych było oczywiście wielu: Abelarda i jemu podobnych wyróżniała pycha umysłu roszczonego sobie prawo samodzielnego rozważania spraw bez skrupowania autorytetem *magisterium* Kościoła, a także prawo swobodnego nauczania, i tym samym wpływania – przez mowę żywą i przez pisma – na klimat umysłowy owego czasu. U schyłku średniowiecza i w czasach zwanych nowożytnymi objawi się już cała plejada humanistów, filozofów, artystów i uczonych, związanych z uniwersytetami albo i nie, bardziej ufających rozumowi i jego władzy sądenia (tudzież, co ważniejsze, wątplenia) niż dogmatom i tradycji. Stopień ich niezależności i nonkonformizmu bywał oczywiście różny, zależny nie tylko przecież od nowatorstwa poglądów, lecz także od charakteru i odwagi: inny u Machiavellego, inny u Erazma, inny u Kartezjusza, inny u Galileusza. Ważne, że nawiązywały się między nimi gęste kontakty korespondencyjne, tworząc z czasem elitarną europejską wspólnotę wymiany myśli (*la république des lettres*).

4. A jednak dopiero filozofom osiemnastego wieku udało się naprawdę przełamanie mniej lub bardziej hermetycznego kręgu uczonych rozpraw. Choć Francja rządzona była arbitralnie przez kamaryle dworskie i ministrów Ludwika XV i XVI, to przecież w świecie idei coraz wyraźniej panowali Montesquieu, Voltaire, Rousseau, których czytać stało się w wyższych sferach modą i niemalże obowiązkiem. Ich przystępnym językiem pisane filozoficzne i polityczne traktaty, szydercze powiastki, udawane listy dotyczyły tematów najbardziej praktycznych: sposobów rządzenia państwem i sposobów wychowywania młodzieży, bezzasadności dziedzicznych przywilejów i powagi praw człowieka w obliczu potęg tego świata. *Encyklopedia*, wiekopomne dzieło zbiorowe redagowane przez Diderota i d'Alemberta, zmagając się z królewską cenzurą, realizowała zuchwały zamiar poddania całej odziedziczonej tradycji, wiedzy, obyczajów i przekonań pod osąd rozumu, który sam żadnym autorytetom nie miał ulegać.

5. Stało się odtąd normalną w Europie praktyką, że obok władców i polityków, którzy rządzą państwami, obok purpuratów, którzy rządzą Kościołem, pojawiają się myśliciele, którzy nie rządzą niczym, za to pozwalają sobie orzekać, jaki ład społeczny i polityczny, jaki system praw rozumna i sprawiedliwa władza powinna tworzyć i ubezpieczać. Stąd łatwo było o pokusę, aby puszczając wodze fantazji i niewiele się licząc z brzemieniem historycznego dziedzictwa, projektować światy idealne, racjonalne i raz na zawsze wolne od wszelkich między ludźmi konfliktów.

Historycy do dziś spierają się o to, w jakiej mierze pomysły tych oświeceniowych intelektualistów wpłynęły na faktyczny bieg dziejów Europy i świata, a także, czy był to wpływ w sumie dobroczynny, czy przeciwnie – złowrogi. To pewne, że filozofowie francuscy i brytyjscy osiemnastego wieku przyczynili się do podważenia legitymizmu arbitralnych rządów monarchicznych i do spopularyzowania liberalnych i humanitarnych zasad w polityce i prawie. Zarazem wskazywano wielokrotnie, i to już współcześnie, że łatwość, z jaką ci pisarze krytykowali zastane autorytety i tradycje propagując nowe idee i doktryny, doprowadziła – już w konwulsjach francuskiej Rewolucji – do nieznanych dawniej ideologicznych tyranii na wzór jakobiński, bardziej w końcu brutalnych od królewskiego despotyzmu.

6. Tymczasem na tych rozległych obszarach Europy, gdzie dojrzewające do świadomości własnego istnienia narody nie miały powodu, by się utożsamiać z władającymi nimi monarchiami, ich wykształconym elitom przypisać miała rola odmienna: twórców idei narodowej, to jest projektantów –

zwykle na podstawie etniczno-językowej – wyobrażonej wspólnoty historycznego losu i woli przyszłego zjednoczenia we własnym niezawisłym państwie. Ci narodowi intelektualisci również, siłą rzeczy, podważali podstawy ładu europejskiego, kwestionując wszelako nie tyle legitymizm panujących, co wytykając im i ich urzędnikom obcość i przemoc, a upominając się nie tyle o prawa człowieka i obywatela, co o pogwałcone prawa Greków, Irlandczyków czy Polaków.

Prawa te były jednak wywodzone z zasad uniwersalnych, w duchu oświeceniowego klasycyzmu, który dominował w kulturach europejskich do lat dwudziestych dziewiętnastego wieku. Pojęcia liberalizmu i konserwatyzmu, republikanizmu i demokracji, a obok nich kult narodowej ojczyzny – cały do dziś obiegowy zespół pojęć politycznych – z tego przeważnie okresu się wywodzi. Niemniej romantyczny przewrót z jego żarliwą emocjonalnością, indywidualizacją stylu i nasyceniem dyskursu idiomem lokalnym, okazać się miał jeszcze lepszym nośnikiem narodowych aspiracji. Był to płodny czas historyków i archeologów, filologów i etnografów, często bardziej amatorskich niż profesjonalnych, którzy budowali kanon literackiego języka i kanon narodowej pamięci o świętych miejscach, bohaterach i wydarzeniach. Oni też wyznaczali na mapach historyczne granice i terytorialne roszczenia swoich narodowości. Z pewną przesadą, ale chwytając istotny rys tego procesu, powiada się czasem, że pisarze, poeci, autorzy słowników, opowieści i płócien historycznych piórami swymi i pędzlami stwarzali nowoczesne narody. Organizowali bowiem zbiorową ich tożsamość wokół sanktuarium symboli kultowych, upamiętniających i jednoczących, wokół idei narodowego wybraństwa i misji, wokół liturgii patriotycznego obrzędu.

Inicjująca rola intelektualistów jeszcze dobitniej objawiła się w rozbudzaniu narodów „plebejskich”, których klasy ogładzone, świadome historycznych korzeni i ciągłości, albo dawno się wynarodowiły, albo nigdy nie miały okazji się narodzić. Tu wspomnienia historyczne, ta podstawa nowoczesnej identyfikacji zbiorowej, musiały być kreowane od podstaw, czemu lepiej zwykle służyły romantyczne mity, nieraz też literackie falsyfikaty, aniżeli skrupulatne badanie źródeł historycznych. Fabrykantów mitów wcale niełatwo na pierwszy rzut oka odróżnić od krytycznych uczonych, skoro intencje ich (choć nie sposoby) bywały zbieżne: podobnie epicki poemat heroiczny mógł lepiej pełnić swoją funkcję niż kronikarska pedanteria. Poetycki geniusz bez wątpienia usprawiedliwiał, a niekiedy wymuszał przyjęcie pozy natchnionego narodowego wieszczka, ale w ostateczności godność taką mógł otrzymać także artysta przeciętny, byle moc-

no w swoje posłannictwo uwierzył i dumnie sprawował przywiązane do niego obowiązki.

7. Gdy europejska przestrzeń tak się zaludniała coraz to nowymi i dawniej nie dostrzeganymi narodami, nie dbająca zgoła o ich granice nowoczesność parła do przodu zmieniając bezustannie warunki egzystencji w krajach najbardziej wysforowanych i siejąc niepokój w krajach opóźnionych. Kraje lub okolice leżące na peryferiach Europy nie miały zrazu ambicji uczestniczenia w tym wyścigu pomysłów i wynalazków, burzących odwieczną rutynę bogobożnego życia. Wszelako ludzie, których zawodem jest myślenie, gdziekolwiek żyli, nie mogli pozostać obojętni wobec tej wielkiej przemiany, jaką forsował wiek pary i kapitału, giełdy i telegrafu, nauk doświadczalnych i prawa konstytucyjnego. Nowego ustroju świata nikt nie wymyślił: rodził się sam, dzień po dniu, w chaosie odkryć i projektów płynących z laboratoriów chemicznych, warsztatów przemysłowych, gabinetów finansistów, kancelarii rządowych, izb parlamentarnych, piwiarni związkowych. Intelktualiści, którzy chaosu organicznie nie znoszą, starać się będą jakieś reguły ładu na tym targowisku odnaleźć albo. Jeśli się nie da, wnieść je z zewnątrz, uporządkować bezładną pospoliczność przy pomocy wielkiej idei. Ale mowy już nie było o jakimkolwiek jednokierunkowym działaniu mędrców. Każdy mędrzec ma swoją własną mądrość i to tylko ich wszystkich łączy, że czują się osobiście lub zbiorowo odpowiedzialni za przyszłość ludzkości i świata. Postęp ma dwa oblicza – jasne i ciemne – to wszyscy wiedzieli i widzieli, a nawet doświadczali na sobie. Jedno oblicze to wyzwolona kreatywność ludzka, jaka nie chce znać żadnych ograniczeń ani zakazów. Twórczość w nauce i w technice, w polityce i sztuce, w wojsku i szkole. To co nowe, przed chwilą wymyślone i zaprojektowane, musi być przecież lepsze i wydajniejsze od starego, bo wywiedzione z kontrolowanego doświadczenia, które każdy może powtórzyć i wyniki sprawdzić. Ludzkość uczy się bez ustanku robić wszystko lepiej, dokładniej, szybciej, nie może być więc mowy o cofaniu się, o nostalgii za czasami przesądu i ignorancji. Cywilizacja jest wszak przedłużeniem i przyspieszeniem ewolucji przyrodniczej, a narody i klasy, które nie potrafią przystosować się do jej rytmu i wymogów, będą w najlepszym przypadku skazane na życie na jej skraju, żywienie się jej ochłapami, w gorszym na wytępienie. Oto doktryna postępu.

Drugie jego oblicze jest mroczne, zatrwożone kosztami tego wyścigu, których człowiek wiary albo idei nie może po prostu księgować z obojętnością buchaltera. Rozpadają się gminy i wspólnoty parafialne, w ponurych miastach gromadzą się zdziczałe tłumy proletariatu, wyzute

z własności i przywiązań, żyjące z dnia na dzień, bez celu i bez godności. Cóż po tych wszystkich dziwach techniki, jeśli nie czynią ludzi ani szczęśliwsiymi, ani bardziej moralnymi i jeśli pierwszym użytkiem, jaki się z nich czyni, jest skuteczne wyniszczanie się wielkich armii i całych narodów? Świat kapitalizmu i nowoczesnej techniki jest w istocie światem zwyrodniałym, światem uzbrojonej nienawiści, nieczulej obojętności, zdegradowanej sztuki. Ten świat z własnej chęci i mocy zmierza do katastrofy.

Intelektualista dziewiętnastego wieku był rozdarty między tymi dwoma biegunami filozofii dziejów: między optymizmem utopistów i entuzjastów naukowego i technicznego postępu a pesymizmem proroków dekadencji i samozagłady. Pomiedzy postawami skrajnymi pozostawało miejsce dla bardziej wyważonych poglądów krytyków cywilizacji, świadomych rozszczepienia wartości i snujących projekty reform albo rewolucji, które w chwili sposobnej miały zmienić bieg historii i ocalić człowieczeństwo.

8. Niektórzy filozofowie i poeci – nie brakowało wśród nich Polaków – spodziewali się takiego świeckiego zbawienia po interwencji Bożej, po Drugim Przyjściu Chrystusa albo jakiegoś innego Mesjasza, który współzycie narodów i klas społecznych ugruntuje na podstawie ewangelii, o ile ludzkość założy sobie na to duchowym przygotowaniem do Millennium. Inni, bardziej trzeźwi, ufali raczej, że oświecona (przez nich samych) ludzkość – w myślach zwykle ograniczona do europejskiego półwyspu – własnymi siłami zmieni swoje dziejowe przeznaczenie, perswazją albo przemocą zniesie przemoc państwa i wyzysk kapitału i ustanowi ład socjalistyczny, w którym wytwory rąk i umysłów nie będą nigdy obracały się przeciw człowiekowi, a zamiast walki i rywalizacji zapanuje powszechne braterstwo ludzi wolnych i równych, nie mówiąc o obfitości dóbr. Była to porywająca idea, którą filozofowie, ekonomiści i wizjonerzy będą przez kilka pokoleń dopracowywali w szczegółach kłócąc się za wzięcie o to, czyj wariant jest bardziej od innych realistyczny.

Inni znowu znać nie chcieli żadnej „ludzkości”, przekonani, że dochodzące do poznania swoich interesów i swojej zbiorowej duszy narody są i pozostaną naczelną formą organizacji społecznej i umacnianiu jej poświęcić winien całą swą energię pisarz, myśliciel, przywódca, który nie chce się wyobcować ze swego jednognieźdnego ludu. Świat jest wszak areną bezwzględnego współzawodnictwa egoizmów plemiennych, w którego toku wyrabia się hart ducha i ekspansywna siła narodowej cywilizacji.

9. U schyłku dziewiętnastego wieku i w pierwszej połowie wieku dwudziestego intelektualistom europejskim, ożywionym politycznymi pasjami, zdawać się mogło, jak nigdy przedtem, że mocą swych idei tworzą nowe światy. Nie czuli się już ani samotni, ani niezrozumiani, gdy rzucali wyzwanie potęgom świata jeszcze istniejącego, gdyż pod hasłami spisanyymi z ich manifestów gromadziły się kolumny ludzi zdesperowanych i posłusznych wezwaniu do buntu w imię wielkiej i porywającej obietnicy. Idee oblekały się w ciało stają się siłami napędowymi dziejów. I tak się jakoś stało, dla wielu niepostrzeżenie, że ideologowie rewolucji stawali się ideologami tyranii, niepokorni nonkonformiści funkcjonariuszami bezdusznych aparatów, a fanatycy pokoju piewcami wojny. Zanim się postrzegli w tej totalitarnej pułapce, było już późno na odwrót. Dla wielu za późno, bo życiem albo czią płacili za swoje fundamentalne omyłki.

A jednak w cieniu historycznych kataklizmów przechował się inny gatunek intelektualisty: sceptyka odpornego na uroki gromkich haseł, pieśni i marszów bojowych, samotnika ufającego bardziej wartościom sprawdzonym i własnemu rozeznaniu w historii oraz zachowującego – na przekór wszystkim pokusom zbiorowej mocy – swoją wewnętrzną niepodległość. Nazywano czasem takich ludzi na modłę średniowieczną klerkami sugerując, nie całkiem trafnie, iż w swoich umysłach, sumieniach i rękopisach strzegą azylu Prawdy, Piękna i Dobra, wartości zdradzonych i porzuconych przez ich nawiedzonych kolegów. Tymczasem ci intelektualisci niepodlegli – ich wzorem może być Raymond Aron, Tomasz Mann, Hannah Arendt, George Orwell albo Stanisław Ossowski – nie wyrzekali się bynajmniej wpływu na swoich współczesnych i na polityczną scenę, jeśli tylko widzieli szansę po temu. Oni to w końcu myśl polityczną dwudziestego wieku nasycili rozsądkiem i umiarem, zmysłem etycznym i dociekliwością analityczną, wreszcie sympatią dla żywych ludzi raczej niż dla ideologicznych abstrakcji. Dzięki nim rozczarowani dysydenci, zwani czasem „uciekiniernami z utopii”, jeśli tylko dane im było przeżyć, mieli dokąd wracać i z kim dzielić swoją nowo nabytą gorzką wiedzę, i to w czasie, kiedy za takie rachunki sumienia zdarzało się płacić wygórowaną cenę.

10. Część z tych ozdowieńców próbowała zrozumieć własne biografie: jedni z wyrozumiałością dla grzechów młodości, inni ze skłonnością do samooskarżenia. K-to sam wolał zapomnieć, temu usłuży koledzy, sami nie koniecznie kryształowi, skwapliwie przypominali niemiłe fakty z epoki komunizmu lub faszyzującego nacjonalizmu. Tłumaczono je, jak się dało: naiwnością, zadufaniem, wizjonerstwem, ślepotą, karierowiczostwem, oportunistem, strachem, żądzą władzy albo – przeciwnie – gotowością

poświęcenia życia na ołtarzu postępu. Motywy faktyczne bywały, jak zwykle, wielorakie i splątane, uwarunkowane cechami osobistymi i presją historii, co dyskusji tej zapewnia długą jeszcze żywotność.

Na razie jednak intelektualisci wszystkich bez mała orientacji ideowych zgodni są w swej, bolesnym doświadczeniem opłaconej, nieufności do wszelkiej władzy, stale gotowi do protestu przeciw arbitralności rządów i sądów, w dyktaturach i w demokracjach. Jak w czasach *dreyfusjady*, mnożą się znów zbiorowe listy i petycje, podpisywane znanymi nazwiskami uczonych, pisarzy i artystów, czasem nawet skuteczne, i mnożą się pamflety pisane przez jednych na drugich, na przykład przez felietonistów na filozofów, którym rzekomo zachciało się znowu władzy nad światem wartości i symboli, choć przecież, co każde dziecko widzi, stracili wszelki tytuł do takich roszczeń.

11. Inny jeszcze temat łączy dziś i dzieli intelektualistów: oto nowa faza starego sporu o kapitalizm i cywilizację naukowo-techniczną. Wiadomo niby, że cywilizacja ta zwyciężyła nieodwołalnie i pięknoduchy, co się bronią przed internetem i szydzą z kultury masowej, sami robią coraz bardziej wrażenie mamutów z jakiegoś kulturowego wykopaliska. A jednak sprawa nie jest taka prosta i ciągle nie widać dobrych racji, dlaczego pokolenie laboratoryjnych i informatycznych geniuszy ma się dla relaksu karmić papką komiksów, seriali i rapu. To osobliwe połączenie wyrafinowanej inteligencji z infantylizmem, które jest rzucającą się w oczy i w uszy cechą popularnej kultury euro-amerykańskiej, rodzi dramatyczne pytania skierowane z jednej strony do massmedialnych dystrybutorów „kultury”, z drugiej do tradycyjnych obrońców humanistycznej hierarchii wartości. Ci ostatni są może śmieszni i archaiczni, a jednak nie należy ich wysyłać na przedwczesną emeryturę, bo wcale jeszcze nie wiadomo, kto i co zwycięży w muzyce, nauce albo polityce. Kultura zawsze rządziła się zupełnie innymi prawami niż demokracja: wartości teorii kwantów ani kwartetu smyczkowego nie rozstrzyga się szczęśliwie przez głosowanie, chociaż demokratyczne głosowanie przy pomocy pilota może, do czasu!, decydować o tym, kto co będzie wiedział o świecie, na którym przyszło mu (jej) żyć i tarmosić się.

12. Sytuacja ta sprawia, że intelektualistów europejskich u progu dwudziestego pierwszego wieku mniej może niepokoją zamachy władzy na wolność opozycyjnych jednostek, a coraz bardziej polityczna i kulturalna potęga demokratycznej przeciętności i wulgarności, jaka przebija przez prawa rynku, niwelujące wszelkie hierarchie wagi i znaczenia. Działają

jeszcze wprawdzie, i to we wzmożonej skali, kulturotwórcze mechanizmy snobizmu, które każą profanom zachwycać się średniowiecznymi katedrami i tłoczyć się na wystawach sławnych malarzy. Trudno jednak powiedzieć, jaka jest wartość takich masowych wtajemniczeń: wydaje się na przykład, że dla tysięcy osób zdobycie autografu laureatki nagrody Nobla jest ważniejsze niż zadumanie się nad jej wierszami.

Nabierają siły podejrzenia, że powszechność praw obywatelskich – ten epokowy sukces myśli demokratycznej – obniżyła powagę politycznego dyskursu i obyczajaję sprawiając, że ludzie większego formatu moralnego i umysłowego niezbyt chętnie obierają kariery w służbie publicznej. Intelktualiści mają wciąż wybór: czy starać się o to, aby wpływem swoim starać się podnosić przeciętne standardy w polityce i sztuce, czy raczej wyzbywszy się poczucia misji chronić własną wrażliwość estetyczną i rozum krytyczny w niszach kulturowych, jakie uda się im odgrodzić od rynkowego zgiełku.

13. Ta walka trwa; jej wynik nie jest jeszcze przesądzony. Gdy więc kto mówi, że zarozumiali *intellos* powinni wreszcie wyzbyć się swoich pretensji, zejść ze sceny i ustąpić miejsca fachowcom, ekspertom, specjalistom przestrzegającym granic swej kompetencji, to radziłbym się chwilę zastanowić.

Czy mądrale i uwodziciele są jeszcze potrzebni? – pytają nas. Czy nie szkoda na nich pieniędzy? Czy nie dowiedli wielokroć, że nie są nieomylni? A ich błędy czy nie kosztowały Europy wielu obłąkań i tragicznych omyłek?

Odpowiadam: oczywiście, że są potrzebni. Historia nauki także jest historią omyłek, a przecie nikt nie każe wygnać fizyki ze szkół dlatego, że uwikłała się kiedyś w teorię flogistonu albo eteru. Błędy, ślepe drogi, a nawet nadużycia nie unieważniają funkcji myśli, której nie można zastąpić żadnym ustalonym na zawsze algorytmem. Doświadczenie pokoleń powinno jednak uczyć nas wszystkich skromności i wątpliwości, wbudować w nas przekonanie, że nie ma nic równie niepewnego jak niezachwiana pewność, nic groźniejszego niż zbiorowe uniesienia i bezwarunkowe zawieszenie jakiegokolwiek doktrynie lub dogmatowi.

Znamieniem nowego czasu nie jest siła przekonań – tej zawsze mieliśmy nadmiar – lecz przeciwnie: niepewność, która nie oszczędza dziś umysłów nawet najbardziej spoufalconych z absolutem, ale wiedzących, że święte przykazania dają nader mgliste wskazówki co do tego, co należy sądzić i jak postępować w sytuacjach konfliktowych i nieprzejrzystych. Etyka poznania każe szanować raczej uczciwe wątpliwości niż przeświadczenia niedostatecznie uzasadnione. Paradoksalnie więc, szacunek dla

prawdy może prowadzić do osłabienia naszej moralnej determinacji w działaniu.

Leszek Kołakowski powiada, że „mniej o prawdę przy tym chodzi, jak o ducha prawdy, nikt bowiem nie może obiecać, że nie będzie się mylił, można jednak przechowywać ducha prawdy również w pomyłkach, czyli nie wyrzekać się czujnej nieufności do własnych słów i własnych identyfikacji, umieć wycofywać się z własnych błędów i przechować zdolność samonaprawczą”. Cnota powściągliwości nie była jednak częstym przymiotem nauczycieli duchowych minionego wieku, którzy lubili mieć po sto procent racji, a nawet więcej, i których namiętność posiadania prostego filozoficznego systemu czyniła względnie łatwymi ofiarami zniewolenia umysłów.

14. Co za tym idzie, wykształcenie się intelektualisty nowego typu, obdarzonego wrażliwością na cierpienie i krzywdę, gotowego do protestu przeciw prześladowaniom i niesprawiedliwości, ale indywidualisty i sceptyka, nie rezygnującego nigdy – w imię apostołstwa jedynej Prawdy – ze zdolności krytycznego myślenia, wątpienia i wazenia programowych alternatyw, będzie z pewnością trudną mutacją, przebiegającą pod ostrzałem rzeczników rozmaitych wartości uświęconych. Będą tej postawie zarzucać moralny relatywizm i dowodzić, że żadnego pożytku nie ma z takich mięczaków, których specjalnością są zastrzeżenia i wątpliwości, owe różne „ale przecież”, podczas gdy ludziom potrzebne jest nade wszystko poczucie zbiorowego sensu, tego zaś źródłem – po śmierci utopii – mają być jedynie wiara i tradycja.

Na to tyle tylko odrzec by można, że w świecie współczesnym jest obfitość sprzecznych wiar i równocześnie nadmiar obojętności. Równie zaś ślepa wiara jak i obojętność obywają się bez *mędrków piśmiennych* (jak ich kiedyś w Polsce nazwano), którzy jeśli w czym mogliby być prawdziwie niezastąpieni, to nie tyle w objawianiu, co w mozołnym ucieraniu zbiorowych sensów życia i racji zespolonych działań.

Nie troszcząc się o szerszy widok społecznego świata, jego historii i jego możliwych przyszłości, postrzegalibyśmy wszystko oddzielnie, bez wzajemnego związku i bez wyprzedzającej wyobraźni, a więc tak właśnie. Jak widzą odcinkowi eksperci – odtąd dotąd, w granicach ścisłej kompetencji, a co dalej, to już kolega. Zuchwali dyletanci, twórcy rozległych krajobrazów są potrzebni, byle tylko pamiętali – uwodziciele i ich słuchacze – że światopoglądy są konstrukcjami na prawach hipotez i że trzeba zawsze pozostawiać sobie wolność zaprzeczenia.

I na koniec; czy intelektualisci są gatunkiem wyłącznie europejskim? Zależy jacy. Kodyfikatorzy wiar dogmatycznych i niezawodnych, prorocy i prawodawcy znani są wielu cywilizacjom i w niektórych odgrywali doniosłą rolę. Gatunkiem europejskim jest, jak się zdaje, dziedzic Montaigne'a, intelektualista wątpiacy, sceptyczny i samokrytyczny, świadom, że najświętsze cele i wartości bywają jedne z drugimi w konflikcie i muszą być równoważone. Ten gatunek, sądzę, jeszcze nie wymarł i wymrzeć nie musi. Niezbywalnym zadaniem intelektualistów jest i pozostanie szczepienie niepokoju. W tym nikt nas nie zastąpi: ani Kościół, ani państwo, ani rynek, ani telewizja, ani eksperci.

LITERATURA

- Zygmunt Bauman, *Prawodawcy i tłumacze*, przeł. Andrzej Ceynowa i Jerzy Giebułtowski. IFiS PAN, Warszawa 1998.
- Cari Boggs, *Intellectuals and the Crisis of Modernity*. State University of New York Press, Albany 1993.
- Christophe Charle, *Naissance des «intellectuels», 1880–1900*. Ed. de Minuit Paris 1990.
- Jerzy Jedlicki, *Jaki pożytek z intelektualistów?*, „Zeszyty Szkoły Nauk Społecznych”, nr 2: Wykłady inauguracyjne 1993–1996, Warszawa 1997, s. 11–22.
- Jerzy Jedlicki, *Świat zwyrodniał: leki i wyroki krytyków nowoczesności*, Sic!, Warszawa 2000.
- Leszek Kolakowski, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, „Aneks” Londyn 1982.
- Józef Koziński, *Intelektualiści – miejsce na ziemi*, Ossolineum Wrocław 1989.
- Ian MacLean, Alan Montefiore and Peter Winch (eds.), *The Political Responsibility of Intellectuals*. Cambridge University Press Cambridge 1990.
- Jacques Le Goff, *Inteligencja w wiekach średnich*, przeł. Eligia Bąkowska Czytelnik 1962.
- Bernard-Henri Levy, *Eloge des intellectuels*. B. Grasset Paris 1987.
- Pascal Ory, Jean-Francois Sirinelli, *Les Intellectuels en France, de l’Affaire Dreyfus a nosjours*. Armand Colin Paris 1986.
- Jerzy Szacki, *Dylematy historiografii idei oraz inne szkice i studia*, PWN Warszawa 1991.